



EMILY
GIFFIN

Wszystko, czego
pragnęliśmy

tłumaczenie Martyna Tomczak



OTWARTE

Kraków 2018



Tytuł oryginału: *All We Ever Wanted*

Copyright © 2018 by Emily Giffin.
All rights reserved

Copyright © for the translation by Martyna Tomczak

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargaskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Łamanie: d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Igor Ustynskyy / Moment / Getty Images

Fotografia autorki: © Deborah Feingold

ISBN 978-83-7515-517-4


OTWARTE
www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Dla Edwarda i George'a
z miłością i dumą*

ROZDZIAŁ 1

Nina

Zaczęło się jak w typowy sobotni wieczór. Tyle że mówiąc to, nie mam na myśli niczego, co typowe dla przeciętnego Amerykanina. Żadnego grilla z sąsiadami, wypadu do kina, żadnej z tych rzeczy, które robiłam, będąc dzieckiem. Był to po prostu wieczór typowy dla nas, takich jakimi staliśmy się po tym, jak Kirk sprzedał firmę produkującą oprogramowanie i z osób żyjących wygodnie zmieniliśmy się w ludzi bogatych. Bardzo bogatych.

„Obscenicznie” – tak określiła to moja najlepsza przyjaciółka z dzieciństwa, Julie. Mówiła nie o nas, lecz o naszej koleżance Melanie, po tym, jak ta kupiła sobie na Dzień Matki diamentowego rolexa, a potem podczas wspólnej kolacji u nas w domu rzuciła lekko, że dzbanuszki z gliny ulepione własnoręcznie przez jej dzieci „to jednak trochę za mało”.

– Za kasę, którą wydała na ten zegarek, mogłaby przez rok wykarmić cały obóz dla syryjskich uchodźców – psoczyła Julie w mojej kuchni, gdy pozostali goście poszli do domu. – To obsceniczne.

Odpowiedziałam niezobowiązującym skinieniem głowy, chowając swojego własnego cartiera pod krawędź marmurowej

wyspy kuchennej i pocieszając się w duchu, że mój zegarek, a co za tym idzie, moje życie znacznie się różnią od tego, co reprezentuje sobą Melanie. Po pierwsze nie kupiłam zegarka dla kaprysu, tylko dostałam go od Kirka na piętnastą rocznicę ślubu. Po drugie zawsze uwielbiałam drobne prezenty i kartki, którymi nasz syn Finch obdarowywał mnie, gdy był mały, i żałowałam, że stały się relikdami przeszłości.

Co ważniejsze, chyba nigdy nie obnosiłam się z bogactwem. Przeciwnie, wprawiało mnie ono w zakłopotanie. W związku z tym Julie nie miała mi go za złe. Nie знаła dokładnej wartości naszego majątku, miała o niej jednak ogólne pojęcie, zwłaszcza po tym, jak wybrała się ze mną na poszukiwania domu do kupienia na Belle Meade Boulevard i pomogła mi znaleźć ten, w którym obecnie mieszkaliśmy. Razem z mężem i dziewczynkami regularnie odwiedzała nas w letniej siedzibie nad jeziorem oraz w domu w Nantucket i chętnie przejmowała po mnie lekko zużyte ciuchy od projektantów.

Owszem, od czasu do czasu zdarzało jej się robić przytyki Kirkowi. Chodziło jednak nie o jego efekciarstwo, lecz o skłonność do elitaryzmu. Jako przedstawiciel czwartego pokolenia socjety Nashville mój mąż dorastał w świecie prywatnych szkół i country clubów, w związku z czym ćwiczył się w sztuce snobizmu już w czasach, kiedy jedyną fortuną, jaką miał, była ta, którą w przyszłości odziedziczy, i nie była ona jeszcze obsceniczna. Innymi słowy Kirk pochodził z tak zwanego dobrego domu – to ten nieuchwytny termin, którego nikt nigdy jasno nie zdefiniował, a jednak wszyscy wiedzieliśmy, że oznacza majątek przekazywany z pokolenia na pokolenie i pewnego rodzaju kształtowany przez dekady wyrafinowany gust. Po prostu: Kirk należał do rodu Browningów.

Moje panieńskie nazwisko Silver nie wiązało się z podobnym statusem nawet według standardów panujących

w Bristolu, mieście na granicy Wirginii i Tennessee, w którym dorastałam i w którym do dziś mieszka Julie. Nie wypadliśmy sroce spod ogona – mój tata pisywał do „Bristol Herald Courier”, a mama uczyła czwartoklasistów – ale bez wątpienia należeliśmy do klasy średniej i luksus oznaczał dla nas możliwość zamówienia deseru w niesieciowej restauracji. Kiedy teraz o tym myślę, zastanawiam się, czy właśnie nie stąd wzięła się lekka obsesja mojej mamy na punkcie pieniędzy. Nie chodzi o to, że jej imponowały, ale zawsze potrafiła stwierdzić, kto je ma, a kto nie, kto na każdym kroku oszczędza, a kto żyje ponad stan. Swoją drogą moja mama była w stanie powiedzieć niemal wszystko o każdym z mieszkańców Bristolu. Nie była plotkarą – w każdym razie nie miała złych intencji – po prostu fascynowały ją sprawy innych ludzi, od wysokości ich majątku i stanu zdrowia po poglądy polityczne i religię.

Tak na marginesie, mój tata jest żydem, a mama metodystką. „Żyj i daj żyć innym” – oto ich mantra, złota zasada, którą przekazali mnie i mojemu bratu Maxowi. Oboje ochoczo przejęliśmy co przyjemniejsze aspekty obu religii, takie jak Święty Mikołaj i wieczerze sederowe, jednocześnie odrzucając żydowskie poczucie winy i chrześcijańską skłonność do wydawania osądów. Wyszło to na dobre nam obojgu, a zwłaszcza Maxowi, który na studiach dokonał coming outu. Moi rodzice przyjęli to bez mrugnienia okiem. Właściwie bardziej niż seksualność mojego brata peszyło ich bogactwo Kirka, szczególnie na początku naszego związku. Mama uparcie twierdziła, że po prostu szkoda jej Teddy’ego, mojego chłopaka z czasów liceum, za którym przepadała, ale czasem wyczuwałam u niej lekki kompleks niższości i niepokój, że Browningowie będą patrzeć na mnie i moją rodzinę z góry.

Muszę uczciwie przyznać, że jako półżydówka z Bristolu z bratem gejem i bez funduszu powierniczego raczej nie byłam

idealną kandydatką na żonę dla ich ukochanego jedynaka. Co tam, teoretycznie nie byłam nią pewnie nawet w oczach samego Kirka. Ale cóż? Wybrał mnie mimo to. Zawsze sobie powtarzałam, że zakochał się w mojej osobowości – we mnie – w taki sam sposób, w jaki ja zakochałam się w nim. Jednak kilka lat temu zaczęłam się zastanawiać nad nami i nad tym, co właściwie połączyło nas w czasach studenckich.

Muszę przyznać, że kiedy rozmawialiśmy o naszym związku, Kirk często wspominał o mojej urodzie. Zawsze o niej wspominał. Naiwnością byłoby więc sądzić, że mój wygląd nie miał nic wspólnego z tym, że zostaliśmy parą – podobnie jak w głębi ducha wiem, że wśród rzeczy, które mnie w nim wtedy pociągały, były patyna wieków i poczucie bezpieczeństwa wiążące się z owym już wspomnianym „dobrym domem”.

Nienawidziłam się za to, a jednak właśnie takie myśli chodziły mi po głowie w sobotni wieczór, kiedy jechaliśmy z Kirkiem uberem do hotelu Hermitage na mniej więcej piątą galę dobroczynną tego roku. Staliśmy się jedną z tych par, myślałam, siedząc na tylnym fotelu czarnego lincolna – mężem i żoną w garniturze od Armaniego i sukni od Diora, którzy prawie ze sobą nie rozmawiają. Coś w naszym związku się popsulo. Czy chodziło o pieniądze? Czyżby Kirk był na nich za mocno skoncentrowany? A może to ja się pogubiłam, odkąd Finch dorósł i zaczęłam spędzać mniej czasu, matkując mu, a więcej w roli filantropki na pełen etat?

Myślałam o słowach taty, który niedawno zapytał, dlaczego ja i moi znajomi nie zrezygnujemy z organizowania gal i nie oddamy całej kwoty na cele charytatywne. Mama mu zawtórowała, twierdząc, że być może zdolalibyśmy „dokonać czegoś ważniejszego w dzinsach niż w stroju wieczorowym”. Obronnym tonem przypomniałam im, że wykonuję również taką pracę, na przykład godzinami

rozmawiam w lokalnym telefonie zaufania z potencjalnymi samobójcami. Oczywiście nie wspomniałam o tym, że Kirk ma zwyczaj lekceważyć wartość wolontariatu i jego zdaniem lepiej bym zrobiła, „po prostu wypisując czek”. Uważał, że datek finansowy zawsze przebija poświęcony czas. To, że zamożnemu darczyńcy przypada więcej rozgłosu i chwały, nie miało jego zdaniem nic do rzeczy.

Kirk to dobry człowiek, powtarzałam sobie w samochodzie, patrząc, jak popija bourbona z czerwonego podróżnego kubka. Za dużo od niego wymagam. Za dużo wymagam od nas obojga.

– Wspaniale wyglądasz – odezwał się nagle, czym jeszcze bardziej mnie zmiękczył. – Boska sukienka.

– Dzięki, skarbie – odpowiedziałam cicho.

– Nie mogę się doczekać, aż ją z ciebie zdejmę – wyszeptał tak, żeby kierowca nie usłyszał. Obrzucił mnie uwodzieleńskim spojrzeniem, po czym upił kolejny łyk.

Uśmiechnęłam się, myśląc, że od ostatniego razu minęło trochę czasu, i powstrzymując chęć poproszenia go, by przyhamował z piciem. Kirk nie miał problemu z alkoholem, ale rzadko zdarzały się wieczory, których nie kończył choć lekko podchmielony czerwonym winem. Może właśnie o to chodzi, pomyślałam. Oboje powinniśmy ograniczyć życie towarzyskie. Mniej się rozpraszać. Być bardziej obecni. Może uda się jesienią, kiedy Finch wyjedzie na studia.

– No więc... Komu powiedziałaś? O Princeton? – zagaił Kirk. Najwyraźniej też właśnie myślał o Finchu i oficjalnym piśmie z uczelni, które przyszło wczoraj.

– Poza rodziną tylko Julie i Melanie – odpowiedziałam. – A ty?

– Tylko naszej czwórce od golfa – odparł, po czym wymienił imiona swoich stałych partnerów. – Nie chciałem się przechwalać... ale nie wytrzymałem.

Jego mina odzwierciedlała moje własne uczucia – mieszaninę dumy i niedowierzania. Finch był dobrym uczniem i tej zimy przyjęto go już do Vanderbilta oraz na Virginie. Ale szanse dostania się do Princeton miał nikłe, więc sukces ten uznałam za zwieńczenie i potwierdzenie słuszności naszych licznych rodzicielskich decyzji, począwszy od zapisaania Fincha do Windsor Academy, najbardziej rygorystycznej i prestiżowej prywatnej szkoły w Nashville, kiedy miał zaledwie pięć lat. Od tamtego czasu zawsze stawialiśmy edukację naszego syna na pierwszym miejscu, wynajmowaliśmy korepetytorów, kiedy tylko zaszła taka potrzeba, otaczaliśmy go sztuką i podróżowaliśmy z nim niemal po całym świecie. W ciągu ostatnich trzech lat wysłaliśmy go na wolontariat do Ekwadoru, obóz rowerowy we Francji i kurs biologii morskiej na wyspach Galapagos. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że mamy wyraźną przewagę finansową nad wieloma z pozostałych kandydatów, i w związku z tym (a zwłaszcza w związku z czekiem, który wypisaliśmy uczelni w ramach darowizny) miałam lekkie wyrzuty sumienia. Ale powiedziałam sobie, że same pieniądze nie gwarantują przecież przyjęcia do Ivy League. Finch ciężko na to pracował i byłam z niego dumna.

Na tym się skup, powtarzałam sobie. Skup się na pozytywach.

Kirk znów wpatrywał się w ekran smartfona, więc ja również wyciągnęłam telefon i sprawdziłam Instagram. Polly, dziewczyna Fincha, opublikowała właśnie ich wspólne zdjęcie z opisem: „Dwa tygrysy! Clemson i Princeton, nadchodzimy!”. Pokazałam zdjęcie Kirkowi, po czym odczytałam mu kilka komentarzy z gratulacjami od dzieci naszych znajomych, którzy mieli się pojawić na dzisiejszej gali.

– Biedna Polly – powiedział Kirk. – Ten związek nie przetrwa nawet pierwszego semestru.

Nie byłam pewna, czy chodzi mu o odległość między Karoliną Południową a New Jersey, czy o zwykłe koleje młodzieńczej miłości, więc tylko mruknęłam coś twierdząco, starając się nie myśleć o opakowaniu po prezerwatywie, które znalazłam niedawno pod łóżkiem Fincha. Odkrycie to w żadnym stopniu mnie nie zaskoczyło, a jednak posmutniałam na myśl o tym, jak bardzo ostatnio dorósł i jak bardzo się zmienił. Kiedyś był małym gadułą, rozwiniętym ponad swój wiek jedynakiem raczącym mnie szczegółowymi relacjami z każdego kolejnego dnia. Wiedziałam o nim wszystko, nie było takiej rzeczy, którą by się ze mną nie podzielił. Ale wraz z okresem dojrzewania przyszła skrytość, która już mu nie minęła, a w ciągu kilku ostatnich miesięcy rozmawialiśmy bardzo rzadko, choćbym nie wiem jak się starała przełamać dzielącą nas barierę. Kirk twierdził, że to normalne, że chłopak po prostu przygotowuje się do wyfrunięcia z gniazda. „Za bardzo się przejmujesz”, powtarzał w kółko.

Odłożyłam telefon do torebki i westchnęłam.

– Gotowy?

– Na co? – spytał Kirk, dopijając drinka, podczas gdy kierowca skręcił w Sixth Avenue.

– Na nasze przemówienie – odparłam, mając na myśli jego przemówienie, choć zamierzałam stać obok, by udzielić mu moralnego wsparcia.

Kirk spojrział na mnie pustym wzrokiem.

– Przemówienie? Przypomnij mi jakie. Co to właściwie za gala?

– Mam nadzieję, że żartujesz.

– Trudno je wszystkie spamiętać...

Westchnęłam.

– Gala Nadziei, kochanie.

– I na co dokładnie mamy mieć nadzieję? – zapytał, uśmiechając się pod nosem.

– Na podniesienie poziomu wiedzy na temat samobójstw i skuteczne zapobieganie im – wyjaśniłam. – Zamierzają nas tam uhonorować, zapomniacieś?

– Za co? – dopytywał.

Powoli zaczynał mnie wkurzać.

– Za wysiłki na rzecz sprowadzenia do Nashville specjalistów w dziedzinie zdrowia psychicznego – odparłam, choć oboje wiedzieliśmy, że dzisiejsza feta miała więcej wspólnego z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów, które im podarowaliśmy po tym, jak zeszłego lata uczeń pierwszej klasy liceum w Windsor odebrał sobie życie.

Choć od tamtego strasznego zdarzenia minęło kilka miesięcy, nadal nie potrafiłam się otrząsnąć.

– Żartuję – rzucił Kirk i poklepał mnie po nodze. – Jestem gotowy.

Skinęłam głową, myśląc, że zawsze był gotowy. Na wszystko. Najbardziej pewny siebie i kompetentny mężczyzna, jakiego w życiu poznałam.

Chwilę później zatrzymaliśmy się przed hotelem. Przy stojny młody boy otworzył przede mną drzwi i wygłosił żwawą formułkę powitalną.

– Czy będzie się pani dziś meldować? – zapytał.

Wyjaśniłam, że przyjechaliśmy na galę. Chłopak skinął głową, z galanterią podając mi dłoń. Zebrałam fałdy czarnej koronkowej sukni i stanęłam na chodniku. Z przodu dostrzegłam Melanie, trajkoczącą w gronie przyjaciół i dalszych znajomych. Standardowe towarzystwo. Zauważywszy mnie, ruszyła w naszą stronę, posyłając mi z daleka całusy i obsypując komplementami.

– Ty też cudownie wyglądasz. Nowe? – Uniosłam dłoń do jej twarzy i musnęłam koniuszkami palców zachwycające diamentowe kolczyki w kształcie żyrandoli.

– Nowo kupione, ale to zabytek – odparła. – Ostatni prezent na przeprosiny od wiesz kogo.

Uśmiechnęłam się i rozejrzałam w poszukiwaniu jej męża.

– A tak w ogóle to gdzie jest Todd?

– W Szkocji. Męski wypad golfowy. Zapomniałaś? – odparła, przewracając oczami.

– Rzeczywiście – zreflektowałam się, myśląc, że za ekstrawaganckimi pomysłami Todda naprawdę trudno nadążyć. Był gorszy niż Kirk.

– Podzielisz się dziś ze mną swoim przystojniakiem? – zapytała Melanie, potrząsając ramionami, kiedy Kirk okrążył samochód i zbliżył się do nas.

– Jestem pewna, że nie będzie miał nic przeciwko temu – odpowiedziałam z uśmiechem.

Kirk, doświadczony flirtiarz, skinął głową i ucałował Melanie w oba policzki.

– Wyglądasz olśniewająco – powiedział.

Melanie uśmiechnęła się, podziękowała, po czym pisnęła:

– O Boże! Słyszałam cudowną nowinę! Princeton! Pewnie pękacie z dumy!

– Owszem. Dzięki, Mel... A czy Beau podjął już ostateczną decyzję? – zapytał Kirk, przenosząc temat rozmowy na syna Melanie.

To właśnie przyjaźń Beau z Finchem, trwająca od pierwszej klasy podstawówki, sprawiła, że ja i Melanie tak bardzo się do siebie zbliżyłyśmy.

– Wygląda na to, że wybierze Kentucky – powiedziała.

– Pełne stypendium? – chciał wiedzieć Kirk.

– Połowiczne – wyjaśniła rozpromieniona Melanie.

Beau był przeciętnym uczniem, ale wybitnym baseballistą i on również otrzymał oferty z kilku różnych szkół.

– Tak czy inaczej, jestem pod wrażeniem. Zuch chłopak – orzekł Kirk.

Przez wiele lat uwierało mnie poczucie, że Kirk zazdrości Beau kariery sportowca. Często oskarżał Melanie i Todda o to, że trudno z nimi wytrzymać i że za bardzo chępią się wyczynami swojego czempiona. Teraz jednak bez trudu mógł pokazać klasę – w końcu to Finch okazał się zwycięzcą. Princeton przebijają baseball. Tak w każdym razie postrzegają to mój mąż.

Gdy Melanie podreptała przywitać się z następną koleżanką, Kirk oznajmił, że idzie szukać baru.

– Napijesz się czegoś? – zapytał, jak zwykle na początku wieczoru okazując mi sporo szarmanckości.

Zazwyczaj dopiero pod koniec robiło się nieciekawie.

– Tak. Ale pójdę z tobą – odparłam, zdeterminowana, by spędzić z nim trochę czasu, nawet w tłumie. – Moglibyśmy nie zostawać dziś długo?

– Jasne. Nie ma sprawy. – Kirk objął mnie w pasie i ruszyliśmy w stronę lśniącego lobby.

Reszta wieczoru przebiegała według zwykłego scenariusza: zaczęło się od koktajli, po których nastąpiła cicha aukcja. Nie zależało mi na żadnym z wystawionych przedmiotów, ale ponieważ pieniądze szły na cel charytatywny, postawiłam na pierścionek z wielkim szafirem. Później chodziłam po sali, powoli sącząc sauvignon blanc, wdając się w towarzyskie pogawędki o niczym i upominając Kirka, żeby nie pił za dużo.

Po pewnym czasie zadzwonił gong na kolację, w lobby przestano podawać alkohol, i zagoniono nas do wystawnej sali balowej, gdzie mieliśmy odnaleźć przydzielone nam miejsca. Kirk i ja wylądowaliśmy przy dziesięcioosobowym stole w centralnym punkcie przedniej części sali, wraz

z trzema innymi parami naszych dość dobrych znajomych oraz Melanie, która zabawiała mnie nieustanną krytyką wystroju („Kompozycje kwiatowe umieszczono za wysoko”), kuchni („Serio, znowu kurczak?”) oraz gryzących się ze sobą strojów organizatorek gali, bo jedna wybrała suknię czerwoną, a druga bordową („Jak mogły nie pomyśleć o tym, żeby zgrać się kolorystycznie?”).

Wreszcie armia kelnerów wniosła te same co zawsze miseczki z czekoladowym musem, a, prowadzące zapowiedziały Kirka i mnie, wychwalając pod niebiosa nasze zaangażowanie w działalność tej i wielu innych organizacji charytatywnych. Siedziałam wyprostowana jak struna. Żołądek ścisnął mi się lekko, kiedy padły słowa:

– A zatem, bez dalszych wstępów... przed państwem Nina i Kirk Browningowie.

Gruchnął aplauz. Kirk i ja wstaliśmy z miejsc i ruszyliśmy w stronę niskich schodków prowadzących na scenę. Weszliśmy po stopniach, trzymając się za ręce. Serce łomotało mi, napędzane adrenaliną, jak zawsze gdy musiałam stanąć w świetle reflektorów. Na scenie Kirk wysunął się naprzód i sięgnął po mikrofon, podczas gdy ja stałam obok ze ściągniętymi łopatkami i przyklejonym do twarzy uśmiechem. Wreszcie oklaski ucichły. Kirk zaczął od podziękowań dla organizatorek, ich pomocników, pozostałych patronów i wszystkich darczyńców. Następnie grobowym tonem przypomniał o powodzie, dla którego wszyscy się tu zebraliśmy. Spoglądałam na jego wyrazisty profil, myśląc o tym, jaki jest przystojny.

– Moja żona Nina i ja mamy syna Fincha – powiedział. – Finch, podobnie jak dzieci niektórych z was, za kilka miesięcy skończy liceum. Jesienią wyjedzie do college’u.

Spojrzałam na przebijające przez jaskrawe światło morze twarzy, a tymczasem Kirk mówił dalej:

– Przez ostatnich osiemnaście lat nasze życie obracało się wokół niego. Jest naszym największym skarbem. – Urwał, spojrział w dół, a po kilku sekundach dodał: – I nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak strasznie byłoby go stracić.

Spuściłam wzrok, kiwając głową, zdjęta przytłaczającym żalem i współczuciem wobec każdej rodziny, którą dotknęło coś tak potwornego jak samobójstwo. Jednak kiedy Kirk zaczął opowiadać o działalności organizacji, moje myśli wstydliwie powędrowały z powrotem ku naszemu życiu i naszemu synowi. Ku wszystkim możliwościom, które się przed nim otwierały.

Wróciłam do rzeczywistości akurat w chwili, kiedy mój mąż mówił:

– Zatem, tytułem końca, Nina i ja jesteśmy zaszczyceni, że możemy się włączyć razem z wami w tę jakże ważną inicjatywę... Walczymy o wszystkie nasze dzieci. Dziękuję państwu bardzo. Życzę przyjemnego wieczoru.

Wśród publiczności znów wybuchł aplauz, a kilkoro naszych najbliższych znajomych zgotowało nam owację na stojąco. Kirk odwrócił się do mnie i mrugnął. Wiedział, że znakomicie mu poszło.

– Idealnie – szepnęłam.

Tyle że sprawy układały się w sposób daleki od ideału.

Ponieważ w tej właśnie chwili po drugiej stronie miasta nasz syn podejmował najgorszą decyzję w życiu.

ROZDZIAŁ 2

Tom

Nazwijcie to ojcowską intuicją, ale czułem, że z Lylą jest źle, jeszcze zanim dowiedziałem się, do czego doszło. Swoją drogą to przeczucie mogło nie mieć absolutnie nic wspólnego z intuicją ani z łączącą nas silną więzią, ani z tym, że wychowywałem Lylę samodzielnie, odkąd skończyła cztery latka. Może chodziło po prostu o skąpy strój, w którym kilka godzin wcześniej próbowała wyjść z domu.

Właśnie sprzątałem kuchnię, kiedy przemknęła obok mnie w sukience tak krótkiej, że było jej widać pupę – część ciała, z którą jej osiem tysięcy instagramowych obserwatorów zdążyło się świetnie zaznajomić dzięki niezliczonym „artystycznym” (zdaniem Lyli) fotkom w bikini, zamieszczanym przez nią, zanim wydałem stanowczy zakaz publikowania roznieglizowanych zdjęć w mediach społecznościowych.

- Na razie, tato – rzuciła z wystudiowaną nonszalancją.
- Hola, hola – zaprotestowałem, stając między nią a drzwiami. – A ty dokąd?
- Do Grace. Właśnie przyjechała. – Machnęła ręką w stronę okna. – Widzisz?

– Widzę tylko tyle – odparłem, zerkając na zaparkowanego przed domem białego jeepa Grace – że chyba zapomniałaś dołu sukienki.

Lyla przewróciła oczami i zarzuciła torbę na ramię. Zauważyłem, że nie ma makijażu. Choć brak mi żyłki hazardzisty, byłbym gotów założyć się o tysiąc dolców, że zanim dojadą do Five Points, na jej powiekach pojawi się ta czarna maź, którą tak lubi paćkać sobie oczy, a niezawiązane tenisówki zostaną zastąpione botkami na obcasie.

– To się nazywa moda, tato.

– Pożyczyłaś tę „modę” od Sophie? – zapytałem.

Sophie była małą dziewczynką, którą Lyla opiekowała się wieczorami za parę dolców.

– Chociaż pewnie i dla niej byłaby za krótka.

– Ale jesteś zabawny – odparła z kamienną twarzą, łypiąc na mnie jednym okiem. Drugie kryło się za burzą ciemnych loków. – Powinieneś, nie wiem, zostać komikiem czy coś.

– Posłuchaj. Nie wyjdiesz z domu w takim stroju. – Próbowałem mówić cicho i spokojnie, tak jak radziła nam pani psycholog podczas ostatniej pogadanki w szkole Lyli. „Kiedy krzyczymy, przestają słuchać”, pouczała nas monotonnym głosem. Pamiętam, jak rozejrzałem się po auli, zdumiony, że tyłu rodziców skrzętnie zapisuje każde słowo. Czy oni naprawdę mieli czas, żeby w sytuacji kryzysowej zaglądać do notatek?

– Taato... – jęknęła Lyla. – Chcę się tylko pouczyć z Grace i kilkoma innymi osobami...

– W sobotę wieczorem? Serio? Za kogo ty mnie bierzesz?

– Już niedługo egzaminy, a my mamy do zrobienia duży grupowy projekt. – Rozpięła torbę i na dowód niewinności pokazała mi podręcznik do biologii. – Widzisz?

– A ilu chłopców jest w tej waszej grupie?

Lyla bezskutecznie próbowała powstrzymać uśmiezek zadowolenia.

– Przebierz się. Natychmiast – rozkazałem, wskazując jej drogę do sypialni. Moją głowę wypełniały przerażające wizje praktycznych lekcji biologii, których ktoś mógłby zechcieć jej udzielić, ujrzawszy ją w takim stroju.

– W porządku, ale każda minuta, którą marnuję na dyskusję z tobą, jest jak stracony punkt do oceny na koniec roku.

– Pozostańmy przy tróji i dłuższej sukience – odparłem, po czym wróciłem do sprzątanania, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że nasza rozmowa dobiegła końca.

Czułem, że na mnie patrzy, a potem kątem oka dostrzegłem, jak obraca się na pięcie i ostentacyjnym krokiem wychodzi z kuchni. Kilka minut później wróciła w kiecce przypominającej worek na ziemniaki, która wprawiała mnie w jeszcze większy niepokój, ponieważ byłem niemal pewny, że zamierza się przebrać – pewnie tuż po tym, jak zaszpachluje twarz makijażem.

– Pamiętaj, masz być w domu przed jedenastą – upomniałem ją, choć wiedziałem, że nie zdołam tego dopilnować, ponieważ sam wracałem znacznie później. Z zawodu byłem stolarzem, ale żeby sobie dorobić, kilka nocy w tygodniu spędzałem za kierownicą ubera lub lyfta, a sobotnie wieczory przynosiły największe zyski.

– Nocuję u Grace, pamiętasz?

Westchnąłem, ponieważ jak przez mgłę przypominałem sobie, że wyraziłem na to zgodę, choć zapomniałem zadzwonić później do matki Grace, by zweryfikować ich plany. Uznałem, że nie mam powodu nie ufać Lyli. Owszem, zdarzało jej się buntować i zwyczajem nastolatków czasem testowała granice. Ale ogólnie rzecz biorąc, dobry był z niej dzieciak. Była bystra i pilnie się uczyła, dzięki czemu po ośmiu latach w publicznej szkole trafiła do Windsor Academy. Ta zmiana okazała się sporym wyzwaniem dla nas obojga. Ja musiałem wziąć na siebie logistykę

(nie mogła dłużej jeździć do szkoły autobusem) i finanse (czesne wynosiło przeszło trzydzieści tysięcy rocznie, choć na szczęście ponad osiemdziesiąt procent tej sumy pokrywało stypendium). Jej stres miał więcej wspólnego z intensywną nauką i jeszcze intensywniejszym życiem towarzyskim. Krótko mówiąc, Lyla nigdy wcześniej nie była otoczona tyloma bogatymi dzieciakami i na początku z trudem dotrzymywała im kroku w ich idealnym, uprzywilejowanym świecie. Jednak teraz, pod koniec drugiej klasy liceum, miała już paczkę dobrych znajomych i wydawała się zadowolona. Jej najlepszą przyjaciółką była Grace, żywiolowa dziewczyna, której ojciec pracował w przemyśle muzycznym.

- Czy rodzice Grace są w domu? - zapytałem.

- Aha. W każdym razie mama. Tata pewnie wyszedł gdzieś na miasto.

- A Grace ma wyznaczoną godzinę powrotu? - dopytywałem, choć byłem pewien, że ma. Wprawdzie widziałem się z jej matką tylko kilka razy, ale wywarła na mnie wrażenie osoby twardo stąpającej po ziemi, chociaż jej decyzja, by podarować szesnastoletniej córce samochód, była moim zdaniem podejrzana.

- Tak. Wpół do dwunastej - odparła Lyla, zerkając na mnie z triumfem.

- Wpół do dwunastej? Drugoklasistka?

- Tak, tato. Nikt oprócz mnie nie musi wracać przed wpół do dwunastej. A niektórym rodzice pozwalają nawet zostać dłużej.

Nie wierzyłem jej, ale z westchnieniem dałem za wygraną, bo od dawna wiedziałem, że o pewne rzeczy nie warto kruszyć kopii.

- W porządku. Ale macie być z powrotem w domu o wpół do dwunastej i ani minuty później.

– Dzięki, tato – rzuciła Lyla, posyłając mi całusa od progu, zupełnie jak dawniej.

Złapałem go w powietrzu i przycisnąłem do policzka – drugi akt naszego starego numeru. Ale ona na mnie nie patrzyła. Była zbyt zajęta gapieniem się w ekran telefonu.

Z jakiegoś powodu właśnie o tym pocałunku myślałem, kiedy wróciłem do domu koło wpół do drugiej nad ranem, nalałem sobie piwa do kufła z mlecznego szkła, który wyjąłem z zamrażarki, i podgrzałem porcję dwudniowego tetrazzini z kurczakiem. Był to ostatni komunikat, jaki wymieniliśmy z Lylą – od tamtego czasu nie napisała ani nie zadzwoniła. To się oczywiście zdarzało, zwłaszcza kiedy pracowałem nocami, a jednak dręczył mnie dziwny niepokój. Nie była to żadna katastroficzna wizja końca świata, raczej zwykła obawa, że kto wie, czy tej nocy przypadkiem nie uprawiała seksu.

Kilka minut później zadzwonił telefon. Lyla. Odebrałem z mieszaniną ulgi i lęku.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

Po drugiej stronie zapadła cisza, po czym rozległ się dziewczęcy głos:

– Ee... Pan Volpe? Tu Grace.

– Grace? Gdzie Lyla? Dobrze się czuje? – dopytywałem spanikowany, bo nagle wyobraziłem sobie swoją córkę w karetce.

– Tak, tak. Jest tutaj. Ze mną. U mnie w domu.

– Coś jej się stało? – Nie przychodził mi do głowy żaden inny powód, dla którego Lyla nie zadzwoniła do mnie sama.

– Nie. Znaczy... Hm. To nie tak.

– A jak, Grace? Poproś Lylę do telefonu. Natychmiast.

– Hm. Nie mogę, proszę pana. Ona... nie może teraz rozmawiać.

– Dlaczego nie może rozmawiać? – dopytywałem coraz bardziej przerażony, chodząc tam i z powrotem po naszej ciasnej kuchni.

– No bo ten... – zaczęła Grace. – Bo ona nie za bardzo kontaktuje.

Zatrzymałem się tylko po to, żeby z powrotem założyć buty.

– Co się dzieje? Brała coś?

– Nie. Lyla nie bierze narkotyków, proszę pana – odparła Grace spokojnym, stanowczym tonem, który odrobinę mnie uspokoił.

– Twoja mama jest w domu?

– Hm. Nie. Wyszła na jakieś przyjęcie dobroczynne... Ale powinna niedługo wrócić. – Coś jeszcze paplała na temat kalendarza towarzyskiego swojej matki, ale jej prze-rwałem.

– Cholera, Grace! Czy mogłabyś mi łaskawie powiedzieć, co tam się u was, do diabła, dzieje?

– No więc ten... Lyla po prostu za dużo wypila... Nie, no w sumie nie tak dużo. Tylko trochę wina i może z jednego drinka... No bo pouczyłyśmy się, a potem poszłyśmy na imprezę... Ale ona właściwie nie zjadła porządnej kolacji. Wydaje mi się, że to przez to.

– Jest przytomna? – zapytałem, czując, jak wali mi serce. Zacząłem się zastanawiać, czy Grace nie powinna się rozłączyć i zadzwonić po pogotowie.

– Tak, jasne. Nie zemdląca ani nic... Tylko odplynęła, a ja się trochę martwię, więc pomyślałam, że dam panu znać. Ale serio, Lyla nic nie brała, ani nawet tak dużo nie wypila... z tego co wiem. Tylko na moment straciłam ją z oczu. To była chwila...

– Dobra. Już jadę – rzuciłem, chwytając kluczyki i próbując sobie przypomnieć dokładne położenie domu Grace.

To było gdzieś w Belle Meade, gdzie mieszkała większość dzieciaków z Windsor, ale odwoziłem tam Lylę tylko kilka razy.

– Wyślij mi esemesem swój adres. Dobrze, Grace?

– Dobrze, proszę pana. Wyślę – odparła i coś tam jeszcze zaczęła bezładnie wyjaśniać, to przynajmniej się do kolejnych występków, to próbując mnie uspokajać.

Gdzieś między drzwiami a samochodem rozłączyłem się i ruszyłem biegiem.

Odebrawszy półprzytomną Lylę od Grace, wygooglowałem „zatrucie alkoholem”, zabrałem ją do pediatry w całodobowej przychodni, po czym uznałem, że mojej córce nie grozi żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. Po prostu się upiła głupim zwyczajem nastolatek. Nie pozostało mi więc nic innego, jak tylko siedzieć przy niej na wyłożonej kafelkami podłodze w łazience i słuchać jak jęczy, popłakuje i co chwila bełkocze: „Przepraszam, tato”. Od czasu do czasu nazywała mnie nawet tatusiem, co jsię nie zdarzyło już od dobrych kilku lat.

I oczywiście miała na sobie sukienkę, którą zabroniłem jej nosić, a pod oczami czarne plamy jak u pandy. Nie palnąłem jej kazania, bo wiedziałem, że jutro pewnie i tak niczego nie będzie pamiętać. Zadałem jednak kilka pytań z nadzieją, że alkohol podziała jak serum prawdy i że do wiem się wystarczająco dużo, żeby nazajutrz skutecznie ją przesłuchać.

Rozmowa przebiegła w sposób możliwy do przewidzenia, czyli mniej więcej tak:

Brałaś narkotyki? Nie.

Piłaś? Tak.

Ile? Tylko trochę.

Gdzie byłaś? Na imprezie.

U kogo? U jednego chłopaka, Beau.

On chodzi do Windsor? Tak.

Co się stało? Nie pamiętam.

Tyle się dowiedziałem. Albo naprawdę nic nie pamiętała – albo tylko tak twierdziła. W każdym razie wyobraźnia podsuwała mi niezbyt przyjemne obrazki. Raz na jakiś czas Lyla podpełzała do toalety, żeby zwymiotować, a ja odgarniałem jej do tyłu potargane włosy. Kiedy się upewniłem, że w jej żołądku nic już nie zostało, kazałem jej wypić wodę z dwoma tabletkami na ból głowy, pomogłem umyć zęby i twarz, po czym zapakowałem ją do łóżka, wciąż w tej nieszcześniejszej sukience.

Kiedy siedziałem na fotelu w jej pokoju i patrzyłem, jak śpi, wezbrała we mnie gwałtowna fala gniewu, strachu i rozczarowania – nieodłącznych towarzyszy każdego ojca nastoletniej dziewczyny, która właśnie narozrabiała. Ale coś jeszcze nie dawało mi spokoju. I choćbym nie wiem jak się starał, nie mogłem przestać myśleć o Beatriz, jedynej poza Lylą osobie, z którą kiedykolwiek przeżyłem coś podobnego.